

MICHAEL ENDE

ZWIERCIADŁO
W ZWIERCIADLE

LABIRYNT

Michael Ende

ZWIERCIADŁO
W ZWIERCIADLE

L A B I R Y N T

PRZEKŁAD:
Jerzy Korpanty

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Tytuł oryginału: *Der Spiegel im Spiegel. Ein Labyrinth*

Copyright © 2023 by Michael Ende Estate (www.michaelende.de),
Represented by AVA international GmbH, Germany
(www.ava-international.de)

Originally published 1984 by Weitbrecht Verlag

Mojemu ojcu, Edgarowi Endemu, poświęcam.

PRZEPRASZAM, NIE MOGĘ MÓWIĆ GŁOŚNIEJ.

Nie wiem, kiedy mnie usłyszysz, ty, do którego mówię.

I czy w ogóle mnie usłyszysz?

Nazywam się Hor.

Przysuń, proszę, ucho jak najbliżej moich ust, bez względu na to, jak daleko jesteś ode mnie, teraz czy zawsze. Inaczej nie będę mógł się z tobą porozumieć. Ale nawet jeśli zdecydujesz się na spełnienie mojej prośby, to i tak pozostanie jeszcze wiele pominiętych milczeniem spraw, które sam będziesz musiał sobie dopowiedzieć. Potrzebuję twojego głosu, kiedy mój odmówi mi posłuszeństwa.

Owa niedogodność związana jest zapewne z miejscem, w którym Hor przebywa. Zamieszkuje on bowiem, o ile może to sobie przypomnieć, w ogromnym, całkowicie pustym domu, w którym każde wypowiedziane słowo wywołuje niekończące się prawie nigdy echo.

O ile mogę sobie przypomnieć. Co to znaczy?

W swej codziennej wędrówce przez sale i korytarze Hor napotyka wciąż jeszcze, od czasu do czasu, na błakający się pogłos jakiegoś okrzyku, który nieopatrznie wydał z siebie przed laty. Tego rodzaju spotkanie z własną przeszłością sprawia mu wielką mękę, zwłaszcza że słowo, które mu się kiedyś wyrwało, zatraciło tymczasem swą formę i treść, zmieniając się nieomal nie do poznania.

Hor przyzwyczał się do tego, by swego głosu – jeśli w ogóle – używać tylko poniżej owej chwiejnej granicy, od której mógłby on wywoływać echo. Granica ta leży jedynie nieco powyżej całkowitej ciszy, dom bowiem jest w okrutny sposób wszystkosłyszący.

Wiem, że wiele od ciebie wymagam, ale będziesz musiał nawet wstrzymać oddech, jeśli zależy ci na tym, żeby dosłyszeć słowa Hora. Z powodu długiego milczenia jego organy mowy uległy bowiem w znacznym stopniu przekształceniu, a także zanikowi.

Hor nie będzie mógł mówić do ciebie z wyrazistością większą od tej, która jest charakterystyczna dla głosów, jakie słyszysz krótko przed zaśnięciem. Ty zaś będziesz musiał starać się utrzymać równowagę na wąskim przesmyku między snem a jawą – albo też unosić się, jak ci, dla których góra i dół znaczą jedno i to samo.

Nazywam się Hor.

Właściwie należałoby powiedzieć: Nazywam siebie Hor. No bo kto poza mną samym woła mnie po imieniu?

Czy wspominałem już, że dom jest pusty? Naprawdę całym pusty. Idąc spać, Hor zwija się w kłębek w jakimś kącie albo kładzie tam, gdzie akurat się znajduje, także pośrodku którejś z sal, jeśli jej ściany są zbyt daleko.

Hor nie ma problemów z jedzeniem. Substancja, z której zrobione są ściany i kolumny, jest jadalna – w każdym razie dla niego. Składa się z żółtawej, półprzezroczystej masy, której spożywanie bardzo szybko zaspokaja głód i pragnienie. Poza tym wymagania Hora pod tym względem są niewielkie.

Upływ czasu nic dla niego nie znaczy. Zresztą nie ma on żadnej możliwości, by go mierzyć, poza liczeniem uderzeń własnego serca. Jednak rytm jego serca często ulega zmianie. Hor nie zna dni ani nocy; przez cały czas otacza go niezmiennie ten sam półmrok.

Kiedy nie śpi, chodzi tu i tam, nie zmierza jednak do żadnego celu. Jest to po prostu rodzaj impulsu, potrzeba, której zaspokojenie sprawia mu przyjemność. Przy tym tylko z rzadka zdarza mu się dotrzeć do pomieszczenia, które jest w stanie rozpoznać, które wydaje mu się znajome – jakby był już w nim kiedyś, niewyobrażalnie dawno temu. Z drugiej strony pewne nieomylnie znaki pozwalają mu nierzadko orientować się, że

przechodzi właśnie koło miejsca, w którym już kiedyś był – kawałek nadgryzionego muru na przykład albo wzgórek zeschniętych ekskrementów. Samo pomieszczenie wydaje się jednak Horowi równie obce jak każde inne. Niewykluczone, że pomieszczenia zmieniają się pod nieobecność Hora; rozrastają się, rozszerzają lub kurczą. Być może to nawet samo przejście Hora wywołuje tego rodzaju zmiany, choć jemu taka myśl niezbyt się podoba.

Że poza Horem jeszcze ktoś inny mieszka w tym domu, uważam za wykluczone. Chociaż, biorąc pod uwagę niewyobrażalną rozległość budowli, nie ma na to żadnych dowodów. Jest jednak równie mało prawdopodobne, jak możliwe.

Wiele pokoi ma okna, te jednak otwierają się znów za każdym razem na inne, najczęściej większe pokoje. Choć jak dotąd doświadczenie nigdy nie nauczyło Hora niczego innego, czasami intryguje go wyobrażenie, że pewnego razu dotrze do ostatniej, najbardziej zewnętrznej ściany, przez której okna widać będzie coś zupełnie innego. Hor nie jest w stanie powiedzieć, co to właściwie miałyby być, czasami jednak długo się nad tym zastanawia. Stwierdzenie, że tęskni za tego rodzaju widokiem, byłoby nieprawdziwe – dla niego jest to tylko pewnego rodzaju gra, pozbawione celu rozważanie wszelkich możliwości. Zresztą w snach Hor rozkoszował się już tego rodzaju widokami, choć po przebudzeniu nie potrafił przypomnieć sobie niczego, co można by ubrać w słowa. Wie tylko, że tak było w istocie i że najczęściej budził się zalany łzami. Jednak Hor nie przywiązuje większego znaczenia do tych zdarzeń i wspomina je jedynie z powodu ich niezwykłości...

Źle się wyraziłem. Hor nigdy nie śni, nie posiada także własnych wspomnień. A mimo to cały jego byt przepelniony jest lękami i rozkoszami związanymi z wydarzeniami, które, niczym nagle wspomnienia, nachodzą jego duszę.

Oczywiście nie zawsze. Obecnie jego dusza jest już od długiego czasu cicha i spokojna niczym nieruchome zwierciadło wody. Kiedy indziej jednak wspomnienia atakują go ze

wszystkich stron, nękają, uderzają weń niczym błyskawice, tak że gna on przez puste korytarze, potykając się, aż w końcu wyczerpany pada na ziemię, leży jak długi i wymiotuje. Hor jest bowiem wobec nich całkowicie bezbronny.

Niczym nagle wspomnienia. Czy tak się wyraziłem?

Nazywam się Hor.

Ale kto to jest: Ja – Hor? Czy jestem tylko jeden? A może jestem dwoma i mam przeżycia tego drugiego? Jestem wieloma? A ci wszyscy inni, którzy są mną, żyją tam na zewnątrz, za tym najbardziej zewnętrznym, ostatnim murem? I oni wszyscy niczego nie wiedzą o swoich przeżyciach, o swoich wspomnieniach, bo u siebie, tam na zewnątrz, nie mają żadnego mieszkania? Ach, ale oni nachodzą Hora, żyją jego życiem, napadają go bez litości. Zrastają się z nim, a on ciągnie ich za sobą niczym tren sukni, który wije się przez niekończące się sale i pokoje, i wciąż rośnie i rośnie.

A może coś ze mnie przechodzi także na was, tam na zewnątrz, na jednego lub na wielu, którzy tworzycie ze mną jedność, niczym mrówki ze swoją królową? Czy czujecie mnie, członki mego rozproszonego ciała? Czy słyszycie moje niesłyszalne słowa, teraz lub w beczasie? Czy w końcu szukasz mnie, ty, mój drugi? Czy szukasz Hora, którym sam jesteś? Czy szukasz swoich wspomnień, które są we mnie? Czy zbliżamy się do siebie nawzajem przez nieskończone przestrzenie niczym gwiazdy, krok za krokiem i obraz za obrazem?

Czy kiedykolwiek spotkamy się ze sobą, kiedyś lub w beczasie?

I czym wówczas będziemy? A może już w ogóle nas nie będzie? Czy zniesiemy się wzajemnie, jak Tak i Nie?

W każdym razie o jednym z pewnością się przekonasz: wszystko dokładnie zachowałem w pamięci.

Nazywam się Hor.

STOSUJĄC SIĘ DO FACHOWYCH WSKAZÓWEK swojego ojca i mistrza, syn wyśnił sobie skrzydła. Przez wiele lat, w trakcie długich godzin sennej pracy, tworzył je, pióro po piórze, mięsień po mięśniu, kostka po kostce, aż w końcu zaczęły nabierać właściwego kształtu. Doprowadził do tego, że wyrastały mu one z właściwych miejsc na obu łopatkach (wyjątkowo trudne okazało się przy tym zwizualizowanie sobie we śnie naprawdę dokładnie własnych pleców), następnie zaś nauczył się odpowiednio nimi poruszać. Wystawiając swoją cierpliwość na ciężką próbę, nie ustawał w dalszych ćwiczeniach, aż wreszcie po nieskończeniu wielu niepowodzeniach zdołał po raz pierwszy na krótką chwilę wznieść się w powietrze. Potem jednak nabrał wiary w powodzenie swojego dzieła, dzięki niespożytej zyczliwości i jednocześnie nieustępliwości, z jakimi instruował go ojciec. Z czasem tak bardzo przyzwyczaił się do skrzydeł, że traktował je jak integralną część własnego ciała, do tego stopnia, że odczuwał w nich nawet ból, a także przyjemne doznania. W końcu musiał wymazać z pamięci lata, w których dane mu było żyć jeszcze bez nich. Teraz już po prostu urodził się z nimi, tak jak z oczami czy rękami. Był gotów.

W mieście-labiryncie nigdy nie obowiązywał zakaz jego opuszczania. Wręcz przeciwnie, tego, komu się to udało, uważano za bohatera, za wybrańca cieszącego się wyjątkową łaską, a jego historię opowiadano sobie jeszcze długo potem. Jednak był to przywilej wyłącznie osób szczęśliwych. Prawa, którym podlegał każdy mieszkaniec labiryntu, były paradoksalne, lecz całkowicie niezienne. Jedno z najważniejszych głosiło: tylko ten, kto opuści labirynt, może być szczęśliwy, jednak tylko szczęśliwy jest w stanie się z niego wydostać.

W ciągu tysiącleci osoby szczęśliwe należały do rzadkości.

Ten, kto gotów był podjąć wyzwanie, musiał najpierw poddać się sprawdzianowi. Jeśli go nie zdał, wówczas karano nie jego samego, lecz jego mistrza, a kara była ciężka i okrutna.

Na twarzy ojca malowała się wielka powaga, kiedy przemówił do syna:

– Tego rodzaju skrzydła uniosą tylko tego, kto jest lekki. A tylko szczęście sprawia, że człowiek staje się lekki.

Następnie długo mu się przyglądał, a w końcu spytał:

– Jesteś szczęśliwy?

– Tak, ojczu, jestem szczęśliwy – brzmiała odpowiedź.

Och, gdyby tylko o to chodziło, nikomu nie groziłoby żadne niebezpieczeństwo! Syn był tak szczęśliwy, iż sądził, że nawet bez skrzydeł mógłby latać, albowiem był zakochany. Kochał gorąco i żarliwie, całym swoim młodym sercem, całkowicie bezwarunkowo i bez najmniejszego cienia wątpliwości. I wiedział również, że jego miłość odwzajemniana jest w sposób równie bezwarunkowy i szczerzy. Wiedział, że jego ukochana czeka na niego i że pod koniec dnia, po zdanym sprawdzianie, uda się do jej błękitnego jak niebo pokoju. A wtedy ona, lekka niczym promień księżycowego światła, wśliznie się w jego ramiona, i w tym niekończącym się uścisku wzniosą się ponad miasto, zostawiając za sobą jego mury niczym zabawkę, z której się wyrosło; będą lecieli nad innymi miastami, nad lasami i pustyniami, górami i morzami, coraz dalej i dalej, aż po kres świata.

Na gołym ciele nie miał niczego poza zarzuconą na ramię rybacką siecią, która wlokła się za nim po ulicach i zaułkach, korytarzach i pokojach. Wymagał tego ceremoniał obowiązujący podczas tego ostatniego, decydującego sprawdzianu. Był pewien, że sprostą zadaniu, jakie przed nim postawiono, mimo że jeszcze go nie znał. Wiedział tylko, że zawsze było ono starannie dopasowywane do osobowości i charakteru egzami-

nowanego. Dlatego też zadania, jakie otrzymywali kandydaci, nigdy nie były takie same. Można było powiedzieć, że zadanie polegało właśnie na tym, żeby na podstawie dogłębnej wiedzy na swój własny temat odgadnąć, na czym właściwie ono polegało. Jedyne surowe zakaz, jakiego musiał przestrzegać, stanowił, że w trakcie całego sprawdzianu, a więc przed zachodem słońca, nie wolno pod żadnym pozorem wejść do błękitnego niczym niebo pokoju ukochanej. Gdyby tak się stało, zostałby natychmiast zdyskwalifikowany i wykluczony z dalszego udziału w próbie.

Uśmiechnął się na myśl o tym, z jak wielką, niemal gniewną powagą jego czcigodny i dobroduszny ojciec zakomunikował mu o tym zakazie. Nie odczuwał najmniejszej pokusy, żeby go złamać. Tutaj nic mu nie groziło, w tej sprawie nie miał się czym martwić. W gruncie rzeczy nigdy nie mógł tak naprawdę zrozumieć wszystkich tych historii, w których ktoś akurat z powodu tego rodzaju zakazu odczuwał aż tak nieprzewyciężoną pokusę, żeby go złamać. W trakcie przemarszu z ciągnącą się za nim siecią przez poplątane i tym samym wywołujące zamęt w głowie ulice i budynki miasta-labiryntu, wielokrotnie już przechodził koło przypominającej wieżę budowli, w której na najwyższym piętrze, na poddaszu, mieszkała jego ukochana, a dwa razy nawet znalazł się tuż pod jej drzwiami opatrzonymi tabliczką z numerem 401. I za każdym razem przeszedł mimo, bez zatrzymywania się. Na tym jednak nie mógł polegać właściwy sprawdzian. Byłby bowiem za łatwy, o wiele za łatwy.

Wszędzie, gdzie się pojawiał, spotykał nieszczęśliwych ludzi, którzy spoglądali nań, a następnie odprowadzali go wzrokiem, patrząc za nim pełnymi podziwu tęsknymi, ale też zawistnymi oczami. Wielu z nich znał już wcześniej, chociaż do tego rodzaju spotkań nigdy nie mogło dochodzić w sposób zamierzony. W mieście-labiryncie porządek i układ ulic i domów zmieniał się bowiem nieustannie, tak iż umawianie się ze sobą w ściśle określonym miejscu było po prostu niemożliwe.

Zejsć można się było wyłącznie przez przypadek czy też z woli przeznaczenia, w zależności od tego, jak kto miał ochotę to interpretować.

W pewnej chwili syn zauważył, że ciągnąca się za nim sieć zaczepiła o coś, i odwrócił się. Zobaczył siedzącego pod łukiem bramy jednonogiego żebraka, którego jedna z kul zaplątała się w oka sieci.

– Co ty robisz? – spytał go syn.

– Miej litość! – odparł żebrak zachrypłym głosem. – Dla ciebie to żaden ciężar, a mnie będzie o wiele lżej. Ty jesteś szczęśliwy i wkrótce wyjdiesz z labiryntu. A ja zostanę tu już na zawsze, bo przecież nigdy nie będę szczęśliwy. Dlatego proszę cię, zabierz ze sobą tam na zewnątrz choćby tylko odrobinę mojego nieszczęścia. W ten sposób ja także będę miał maleńki udział w twoim wyjściu. To dodałoby mi otuchy.

Ludzie szczęśliwi mają zwykle miękkie serca, są litościwi i współczujący, chcą, żeby także inni mieli udział w przepełniającym ich szczęściu.

– Dobrze – odparł syn – cieszę się, że w ten sposób, robiąc coś tak drobnego, mogę wyświadczyć ci przysługę.

Już na następnym rogu ulicy spotkał zrozpaczoną i wychudzoną, ubraną w łachmany matkę z trojgiem na wpół zagłodzonych na śmierć dzieci.

– Chyba nie odmówisz nam tego, co obiecałeś temu tam – rzuciła z nienawiścią w głosie.

Po czym w oka sieci wplątała mały, żelazny nagrobny krzyż.

Od tej pory sieć robiła się coraz cięższa i cięższa. W mieście-labiryncie ludzi nieszczęśliwych było bez liku, a każdy, kto tylko spotykał syna, wplątywał coś swojego w jego sieć – but albo kosztowną ozdobę, blaszane wiadro albo worek pieńędzy, jakąś część garderoby albo żelazny piecyk, różaniec albo zdechłe zwierzę, narzędzie albo w końcu nawet skrzydło bramy.

Zbliżał się już wieczór, a wraz z nim koniec sprawdzianu. Pochylony mocno do przodu syn włókł się, krok za krokiem, przed siebie, jakby kroczył naprzeciw potężnej, bezgłośniejsz nawalnicy smagającej go porywistym wiatrem. Jego twarz, zlana potem, wciąż jeszcze była pełna nadziei, albowiem wydawało mu się, że właśnie zrozumiał, na czym właściwie polegało jego zadanie, i mimo wszystko czuł się na tyle silny, żeby wypełnić je do końca.

Potem zapadł zmierzch, lecz wciąż nikt się nie pojawiał, żeby mu powiedzieć, że już wystarczy. Nie wiedząc jak, dotarł, wlokąc za sobą tak ogromny ciężar, na taras na dachu przypominającego wieżę domu, w którym znajdował się błękitny jak niebo pokój jego ukochanej. Nigdy wcześniej nie zauważył, że widać było stąd morskie wybrzeże; może zresztą wcześniej wcale jeszcze nie było go w tym właśnie miejscu. Z najwyższym niepokojem syn uświadomił sobie, że słońce zaszło właśnie za lekko zamglonym horyzontem.

Na plaży stały cztery uskrzydłone postacie takie jak on. Usłyszał wyraźnie, choć nie widział tych, którzy wypowiadali te słowa, że zostały one wyzwolone i wypuszczone na wolność. Krzyknął do nich z góry z pytaniem, czy nie zapomnieli o nim, nikt jednak nie zwracał nań uwagi. Drżącymi dłońmi zaczął szarpać za sieć, której jednak nie był w stanie z siebie ściągnąć. Co chwila krzyczał na dół, wołając ojca, żeby przyszedł mu z pomocą, wychylał się przy tym ile tylko się dało przez balustradę.

W ostatnich, gasnących promieniach dziennego światła ujrzał, jak tam w dole jego ukochana, cała spowita w czarny welon, została wyprowadzona z domu. Następnie pojawiła się ciągnięta przez dwa kare konie czarna kareta, której dach był wielkim obrazem – wizerunkiem pełnej smutku i rozpaczony twarzy jego ojca. Ukochana wsiadła do karety, po czym pojazd zaczął się oddalać, aż w końcu zniknął w ciemnościach.

W tej chwili syn pojął, że jego zadanie polegało na tym, żeby być nieposłusznym, i że wobec tego nie zdał sprawdzianu,

nie sprostał próbie. Czuł, jak jego stworzone we śnie skrzydła więdną i odpadają od ramion, niczym jesienne liście, i wiedział, że już nigdy nie będzie latał, i że już nigdy więcej nie będzie mógł być szczęśliwy, i że tak długo, jak będzie żył, pozostanie w labiryncie. Albowiem teraz przynależał do niego już cały.

POKÓJ NA PODDASZU JEST BŁĘKITNY NICZYM bezchmurne niebo, ściany, sufit, podłoga, kilka mebli. Przy stole siedzi student – opiera łokcie na blacie i trzyma się rękami za głowę. Ma zwichrzone włosy, czerwone uszy, zimne i wilgotne dłonie. Zimno i wilgoć panują w całym tym małym pomieszczeniu. A teraz na dodatek zabrakło prądu i nie ma światła.

Przysuwa ku sobie książkę i zaczyna jeszcze raz od początku. Musi, musi opanować ten materiał. W przyszłym tygodniu zdaje egzamin.

– ...szczególna teoria względności opiera się na stałej prędkości światła... P jest punktem w próżni... P' jest oddalonym o d *sigma*, nieskończenie bliskim... nieskończenie bliskim... z punktu P w momencie t wychodzi impuls świetlny, który dociera do P' po czasie równym $t + dt$...

Student czuje, że jego oczy są twarde i suche niczym kościane guziki. Przez dłuższą chwilę trze je palcami, aż w końcu zaczynają łzawić. Odchylając się do tyłu na oparcie krzesła, rozgląda się po mansardzie; przepierzenie z płyt wiórowych, które sam sobie zbudował przed dwoma laty – w rogu dużego pomieszczenia magazynowego. Wtedy kolor błękitny mu się podobał, teraz już nie. Nie ma jednak czasu, żeby cokolwiek tu jeszcze zmieniać. Już i tak zbyt wiele go stracił.

I czy w ogóle pozwolą mu tu dalej mieszkać? Oczywiście płaci komorne, ale jest ono bardzo niskie. Dlatego właśnie tu urządził sobie mieszkanie. Kto nie ma pieniędzy, ten nie może stawiać wymagań. Ale teraz, kiedy umarł poprzedni właściciel domu, zapewne podniosą komorne. Dokąd wtedy pójdzie? I to akurat teraz, tuż przed egzaminem. Jak można się skupić na nauce, kiedy człowiek nie wie, gdzie się jutro podzieje! Żeby

choć spadkobiercy w końcu dogadali się ze sobą, byłoby przynajmniej wiadomo, na czym stoi.

Odsuwa od siebie książkę i wstaje. Jest błądy i wysoki, o wiele za wysoki. Musi schylać głowę, żeby nie uderzać nią w sufit. W tej chwili chce mieć pewność – teraz, natychmiast – żeby, nie niepokojony dłużej troskami, móc dalej się przygotowywać.

Ogromy magazyn, przez który przechodzi, pełen jest mnóstwa najrozmaitszych przedmiotów, mebli, wielkich waz, wypchanych zwierząt, lalek ludzkiej wielkości, niewiadomego przeznaczenia maszyn i urządzeń. Student schodzi na dół po szerokich schodach, a następnie przechodzi przez długą galerię zawieszoną tysiącami zmatowiałych ze starości luster, dużych i małych, gładkich i powyginianych, które po tysiącokrotnie odbijają jego rozmyty i zamglony obraz.

W końcu dociera do jednej z wielkich sal. Wygląda tu tak jak w doszczętnie splądrowanym muzeum etnograficznym. Szklane gabloty są w większości potłuczone, opróżnione z cennych ozdób i kosztowności, które się w nich znajdowały. Sarkofagi z mumiami zostały brutalnie pootwierane i porozbijane, na podłodze piętrzy się sterta skorup rozmaitych naczyń, na stelażach wiszą poprzekrzywiane elementy uzbrojenia, wykonane z piór kolibrów azteckie ceremonialne szaty rozpadają się na strzępy żżerane przez mole.

Student zatrzymuje się i w zdumieniu rozgląda dokoła. Jak to się stało, że od czasu, kiedy był tu ostatnim razem, wszystko uległo tak wielkiemu zniszczeniu i popadło w tak straszliwą ruinę?

Ale kiedy właściwie był tu ostatnim razem? Czy poprzedni właściciel żył jeszcze wtedy? Tak, chyba tak. Choć przecież on sam nigdy go nie widział. Tylko jego starego służącego, człowieka o surowym spojrzeniu, który roztaczał wokół siebie aurę uroczystej powagi.

Podczas kiedy student zastanawia się jeszcze nad tym wszystkim, do sali wchodzi właśnie ów służący. Pod pachą trzyma dużą miotłkę do kurzu, ma na sobie brudną i podartą

liberię, zmierzwione siwe włosy sterczą mu wokół głowy, a do tego – ależ tak, rzeczywiście! – idąc, kołysze się nieco na boki, wykonuje nerwowe ruchy dłońmi i jednocześnie mamrocze coś pod nosem.

– Dzień dobry! – zwraca się do niego uprzejmie student.
– Czy mógłby mi pan powiedzieć...

Ale stary służący, wciąż chaotycznie gestykulując, mija go bez słowa i zdaje się zupełnie go nie zauważać. Student rusza za nim.

– Bez sensu! – mruczy służący, wykonując energiczny gest.
– To przecież absolutnie bez sensu, żeby w ogóle zaczynać. Szczęść Boże, mój drogi młody człowieku.

– Co pan przez to rozumie? – pyta nieco skonsternowany student.

– Jak to co?! – odkrzykuje służący. – Początek – to zawsze okropny bezsens. Dlaczego? Bo go nie ma! Czy natura zna może jakiś początek? Nie! A więc zaczynanie jest wbrew naturze! A w moim przypadku? Tak samo, zupełnie bez sensu. Dowód: Na przykład teraz.

Z kieszeni marynarki wyjmuje butelkę, pociąga z niej spory łyk, potrząsa głową, czka, uważnie chowa butelkę z powrotem do kieszeni. Kiedy student zabiera się do zadania pytania, stary zaczyna już mówić dalej:

– Trzeba myśleć – stuka się kilka razy w czoło – myśleć obiektywnie, tak właśnie trzeba! Zrozumiano, młody człowieku? Kiedy więc pomyślę obiektywnie, to muszę stwierdzić, że nie ma najmniejszej szansy na to, żebym ja, pojedynczy, słaby człowiek, był w stanie cokolwiek zmienić w tym stanie rzeczy. Kimże ja jestem, że miałbym się tego podjąć? Wykończonym od nieustannego wysiłku umysłowego starcem, oto kim jestem. Niezaprzeczalnie!

Ponownie wyciąga butelkę, popija, wyciera sobie usta rękawem.

– Trzeba żyć, czerpiąc z ducha, zrozumiano, młody człowieku? Z wiedzą trzeba żyć, świadomie! Ale to wcale nie jest

takie proste. Zwłaszcza w życiu codziennym. Załóżmy, że wdam się w beznadziejną walkę z przeważającymi siłami tego leżącego tu wszędzie w uśpieniu kurzu – co przez to osiągnę? Nic, zupełnie nic, to właśnie mówi mi mój logiczny rozum. No może poza pogorszeniem tych i tak już rozpaczliwych warunków, jakie tu panują. Przykład: pociągnę tu teraz za tę zasłonę, która natychmiast się urwie.

Pociąga za ciężką zasłonę na oknie, która natychmiast się urywa i spada na podłogę, wzbijając potężną chmurę kurzu.

– Inny przykład – ciągnie niezrażony tym, co się stało, stary – spróbuję teraz otworzyć to okno, które natychmiast wypadnie prosto na mnie.

Próbuje otworzyć okno, które natychmiast wypada na niego. Szyba z hukiem roztrzaskuje się na podłodze.

Służący triumfalnie spogląda na studenta.

– Tak jak mówiłem. Oto dowód. Z każdą próbą przecięcia chaosu, chaos tylko się zwiększa. Najlepiej byłoby siedzieć cicho i nic nie robić.

Znów popija z butelki.

– Aha – mówi student, w roztargnieniu rozglądając się dokoła – to pan chce tu zrobić porządek?

– Odkurzyć! – poprawia go stary służący. – Odkurzyć, tak jak robiłem to przez całe życie. Ale sam pan widzi, jaki jest efekt wszystkich naszych wysiłków i starań: kurz. A raczej wygląda na to, że na koniec zostaje pył. Na początku kurz, na końcu pył. W sumie jedno i to samo. Odchodzi się bez śladu. I to jest najgorsze.

– Jednak wpada tu trochę świeżego powietrza – uprzejmie zwraca uwagę student, tylko po to, żeby powiedzieć coś dodającego otuchy – no i czasami słychać krzyki bekasów dochodzące z mokradeł. To już jest coś.

Stary chichocze i pokasłuje.

– Tak, tak, kochana natura! Ona po prostu robi swoje. Nasze problemy zupełnie jej nie obchodzą. Ona nie musi przecieź podejmować żadnych decyzji, tak jak ja. Tylko że człowiek

nie jest ptakiem, bo nie ma skrzydeł. Człowiek musi żyć w oparciu o obiektywną wiedzę, po to ma swój rozum, młody człowieku! Oto cały morał. Morał, który głosi: To nie takie proste. Niech pan sobie zapamięta, młody człowieku! Muszę jeszcze raz zacząć od początku i przemyśleć ten problem.

– Widzę, że niełatwo pana zniechęcić – mówi student – ale czy mógłby mi pan teraz jeszcze szybko udzielić pewnej małej wskazówki?

Służący nie słucha go. Idzie dalej, do następnej sali, mówiąc do siebie:

– Problem wygląda następująco: Jeśli rzeczywiście nie ma sensu zaczynać, to sensowne jest nie zaczynać. Ergo: lepiej dam sobie z tym spokój.

– Słusznie! – potwierdza student, który idzie za nim krok w krok. – Niech pan da sobie z tym spokój.

– Wniosek, który narzuca się sam! – stary służący wybucha nieszczerym śmiechem. – Ale niech pan teraz uważa, młody człowieku: Czym jest ludzkie życie?

Student patrzy nań z uśmiechem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– No cóż, szczerze mówiąc, nie chciałbym niczego stanowczo twierdzić...

Stary stuka go palcem w pierś, owiewając twarz swoim oddechem.

– Walka na z góry straconej pozycji, oto, czym jest życie! – oświadcza, akcentując każde słowo z osobna. – A na czym polega moralna wielkość, nakaz przyzwoitości, imperatyw etyczny? Powiem panu, młody człowieku: Nawet wówczas, kiedy wszystko jest bezsensowne, mimo wszystko trzeba zacząć! Dlaczego? Ponieważ zawsze trzeba robić to co się da!

– Brawo! – woła student, próbując unikać kontaktu z oddechem starego.

– Przyznaję otwarcie – ciągnie służący – że w ten sposób sam zapędziłem się w ślepią uliczkę, sytuację całkowicie bez wyjścia! A to już jest coś.

– Jest pan rzeczywiście bezlitosnym myślicielem – rzuca szybko student.

Stary bierze głęboki wdech i rozkłada szeroko ramiona.

– Oto stoję tu jako gospodarz domu i człowiek – woła, a jego głos niesie się przez szereg kolejnych sal – mając przeciwko sobie całą tę beznadziejnie obezwładniającą potęgę chaosu, i podjąłem właśnie pewną nieodwołalną decyzję.

Nagle uginają się pod nim nogi, chwytą studenta za ramię i trzymają się go kurczowo.

– Jeśli teraz, w ostatniej chwili, nikt mnie nie odciągnie od przepaści – szepcze przerażony – to niechybnie zacznę wycierać kurz. Skutki, młody człowieku, mogą być nieobliczalne!

Ale student, który prawie w ogóle go nie słuchał, odtrąca starego. Zobaczył bowiem coś, co całkowicie przykuło jego uwagę. Pośrodku następnej sali, którą widać przez otwarte skrzydło drzwi, przy długim stole konferencyjnym siedzi kilka osób. Nie można ich wyraźnie rozróżnić, ponieważ w sali panuje półmrok. Student nie ma jednak wątpliwości, że są to spadkobiercy, którzy prowadzą ze sobą negocjacje.

– Niech pan mi powie – szepcze do ucha starego, wskazując w kierunku stołu – czy wiadomo już coś konkretnego?

– Dziękuję – odpowiada równie cicho służący – dziękuję, że mnie pan od tego odwiódł, młody człowieku. Niestety muszę pana poinformować, że nie, że wciąż jeszcze niczego nie wiadomo.

– Ach, co za głupia sprawa! – myśli student, zbliżając się zdecydowanym krokiem do drzwi. – Muszę ich po prostu spytać...

Jednak stary łapie go mocno za rękaw.

– Rany boskie, niech pan państwu nie przeszkadza. I to akurat teraz! Tak nie można!

Student zatrzymuje się, po czym, nie spuszczając z oka spadkobierców, wyjaśnia półgłosem:

– Po prostu muszę w końcu wiedzieć, czy mogę zostać, czy też muszę rozejrzeć się za nową kwaterą, nie rozumie pan!?

Coś takiego zabiera dużo czasu, a ja nie mam teraz ani chwili do stracenia. W przyszłym tygodniu mam egzamin, tak że jeśli oni mnie jutro albo pojutrze stąd wyrzucą, będę załatwiony.

– Owszem, rozumiem – mówi stary, głaszcząc go po policzku – ale musi się pan jeszcze trochę uzbroić w cierpliwość. Wy, młodzi, jesteście tacy niecierpliwi. Jeśli panu tak na tym zależy, to przy bardziej odpowiedniej okazji dowiem się, jaka jest pana sytuacja.

– Obiecał mi pan to już dwa tygodnie temu!

– Owszem, ale państwo jak dotąd nie doszli jeszcze niestety do porozumienia co do tego, kto z nich będzie nowym właścicielem.

– Trwa to już dosyć długo, nie sądzi pan?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Takie sprawy wymagają czasu. Ale niech mi pan wierzy, z godziny na godzinę państwo są coraz bliżsi porozumienia! Bardzo, ale to bardzo się starają. Jednak akurat w tych wyjątkowych okolicznościach niezmiernie trudno znaleźć im właściwe rozwiązanie.

– Ci państwo są jednak jakoś wyjątkowo cisi, jak mi się zdaje. Przecież oni w ogóle ze sobą nie rozmawiają!

– No tak, tak, niestety znowu utknęli w martwym punkcie. Teraz wszyscy zastanawiają się nad znalezieniem nowej podstawy do negocjacji. Niech pan im tylko teraz nie przeszkadza, bo wszystko potrwa jeszcze o wiele dłużej!

Student jednak siłą odrywa się od służącego i zdecydowanym krokiem podchodzi do stołu, przy którym siedzą zebrani. Zbliżając się, zauważa, że wszyscy siedzą sztywno wyprostowani, w bezruchu, niczym mumie. Gruba warstwa kurzu pokrywa ich głowy, brody, ubrania, okulary. Pomiedzy nimi zwieszają się długie pajęczyny, poruszając się bezgłośnie w lekkim przeciągu, jaki tu panuje. Student wskazuje na nich bez słowa, spoglądając za siebie na starego służącego.

– No tak – mruczy tamten w zakłopotaniu – kołyszają się jak hamaki, prawda?

Student zagląda także pod stół i krzesła. Na zakurzonej podłodze wszędzie widać mnóstwo śladów małych nóżek, pozostawionych chyba przez wije albo chrząszcze.

– Chce pan się napić? – pyta stary służący i podaje studentowi butelkę.

– Na taki widok człowieka zaczyna suszyć, prawda?

Powąchawszy butelkę, student gwałtownie odsuwa ją od siebie.

– Mój Boże, a cóż w niej jest?

– Ocet winny – wyjaśnia stary, nagle znów odzyskując swoją poprzednią godność i powagę. – Ocet winny zaprawiony żółcią. Słynna mieszanka. Otrzeźwia. Jedyne środki umożliwiające odzyskanie zdrowego rozsądku w tym działającym zaburzająco na stan świadomości położeniu. Widzi pan, jestem kimś w rodzaju odwrotności pijaka. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Pan też do tego przywyknie.

– Nie wydaje mi się – odpowiada student. – I nie przywyknę też do tej przekłętej niepewności, że ciągle nie wiem, co się stanie ze mną i moim pokojem.

– Och – wzdycha stary i smutno się uśmiecha – to tylko początek. Ale szczerze mówiąc, ja też nie liczyłem się z tym, że cała sprawa będzie się aż tak przeciągać. W rzeczy samej, myślałem, że testament zmarłego pana zostanie po prostu otwarty i wszyscy będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

– Ale co w zasadzie temu przeszkodziło?

Stary popija z butelki.

– W zasadzie nic temu nie przeszkodziło.

Zakorkowuje butelkę i chowa do kieszeni.

Student powoli obchodzi dokoła długi stół, zaglądając spadkobiercom w ich zakurzone twarze, jednemu po drugim. Kiedy dmucha na jednego z nich, w powietrze wzbija się obłok kurzu.

Wzdycha, po czym siada na obitej adamaszkiem sofie, która jednak natychmiast się pod nim załamuje. Z trudem uda-

je mu się odzyskać równowagę i podnieść na równe nogi. Stojąc, zaczyna się energicznie otrząpywać.

– Długo to oni już tu tak nie pociągną – mówi – jeśli w ogóle coś z nich jeszcze zostanie.

– Jestem tego samego zdania – odpowiada służący, przystępując do odkurzania go miotełką.

– Jak pan sądzi, jak długo to jeszcze potrwa?

– Trudno powiedzieć. Może jeszcze tylko trochę, a może i nie.

– No ale do tego czasu mogę chyba liczyć na to, że będę mógł jeszcze trochę pomieszkać w mojej mansardzie, nieprawdaż?

– Na pana miejscu nie byłbym tego taki pewny, młody człowieku.

– Jasna cholera! – mówi student cichym głosem. – Ale to przecież idiotyczne, żyć w takim nieustającym zawieszeniu.

Stary znów się śmieje, wpadając przy tym w kaszel.

– Wszyscy żyjemy w zawieszeniu, pan, spadkobiercy, ich krewni, nawet ja – wykonuje przy tym gest dłonią wokół szyi, tak jakby wisiał na stryczku. – I dlatego człowiekowi tak szybko marzną tu stopy. Z tej niepewności.

Znów kaszle.

– Spadkobiercy? – pyta student. – A dlaczego oni?

– No cóż, przecież państwo też nie wiedzą, jaką mają zająć wobec siebie postawę, z kim powinni być w dobrych stosunkach, a z kim nie. Każdy może stać się dla każdego naraz kimś ważnym, nikt nie może pozwolić sobie na to, żeby całkowicie popsuć sobie stosunki z kimś innym. Tak więc nienawidzą siebie nawzajem w milczeniu i tylko badawczo przyglądają się sobie oczami, z których każde przypomina otwór wylotowy lufy rewolwerowej. A najgorsze, że każdy przyprowadził ze sobą mnóstwo krewnych, którzy panoszą się we wszystkich pomieszczeniach domu. A przecież nie jesteśmy przygotowani na przyjmowanie tak wielu gości. Dlatego oni zbudowali sobie w dolnych salach małe chatki i domki, wykorzystując w tym

celu materiał ze zdemolowanych przez siebie kosztownych starych mebli oraz deski poodrywane od boazerii. Ostatnio zaczęli nawet rozpałać na parkiecie ogniska, na których gotują sobie posiłki. Instalacja elektryczna domu jest zdecydowanie za słaba, żeby wytrzymać obciążenie wszystkimi tymi piecykami, maszynkami do gotowania, radiodbiornikami, telewizorami i czym tam jeszcze. W końcu będziemy tu mieli straszliwy pożar, nie ma co. Chodzę po całym domu i proszę tych ludzi o powściągliwość, ale każdy mi tylko odpowiada: dlaczego akurat ja? Oczywiście nikt sam nie chce się ograniczać, dopóki nie zrobią tego także inni. Na początku to wszystko pomyślane było jedynie jako rodzaj prowizorki, ale w międzyczasie ci państwo już dawano urządzili się w tej prowizorce jak u siebie w domu. Płakać się chce.

Stary wyciąga lepką od brudu chusteczkę i wyciera sobie nos.

– A ja z tego wszystkiego prawie w ogóle niczego nie zauważyłem – mówi zdumiony student – no może poza tym, że często rzeczywiście brakuje prądu.

– A jak ja sam się czuję, żyjąc w takim zawieszeniu – ciągnie służący płaczącym głosem – to tego pan sobie nawet wyobrazić nie potrafi, drogi młody człowieku! Wszyscy państwo traktują mnie jak swojego osobistego służącego: „Proszę zrobić to! Proszę załatwić mi tamto! I to możliwie jak najszybciej!”. No a ja nie mogę się przed tym wzbraniać, bo przecież każdy z nich może zostać właścicielem, moim nowym panem. Nie jestem już po prostu w stanie dłużej sprostać tym wszystkim wymaganiom! I niech pan sobie jeszcze wyobrazi, że oni wykorzystują mnie nawet do tego, żeby się nawzajem szpiegować. A ja, ja przecież muszę być w dobrych stosunkach ze wszystkimi i nikomu nie mogę się narazić!! I to wszystko spada na człowieka, który przyzwyczajony jest do życia zgodnego z rozumem i zdrowym rozsądkiem! Toż to istne piekło!

Stary wyciera oczy chusteczką.

– A co będzie wtedy, kiedy stosunki wreszcie się uregulują? Co będzie ze mną? No niech pan mi powie! Czy będę mógł zachować swoje stanowisko? Czy za tę nadludzko ciężką pracę przynajmniej mi zapłacą? Czy też pomimo wszelkich moich wysiłków i starań i tak wyrzucą mnie na ulicę, starego i słabego, jak pan widzi? Jak pan może się domyślać, ten miecz Damoklesa, który nieustannie wisi nad moją głową, znacznie osłabia mój zapał i chęć do pracy. I w ten właśnie sposób ja sam też podcinam włos, na którym zawieszony jest ów miecz! Ci ludzie są okrutni! Młody człowieku, oto ma pan przed sobą kogoś pogrążonego w prawdziwie czarnej rozpacz!

Stary zaczyna szlochać, opierając głowę na piersi studenta. Ten skonsternowany gładzi go po ramieniu i mówi cichym głosem:

– Wprawdzie właściwie powinienem się uczyć – ale przez ostatnie kilka dni i nocy tak strasznie ciężko pracowałem, że trochę ruchu zapewne dobrze mi zrobi. Jeśli więc wezmę pana za rękę, to możemy pójść...

Stary służący natychmiast się uspokaja i czuje podniesiony na duchu.

– Ależ oczywiście – mówi – praca fizyczna jest bardzo zdrowa, prawie tak samo jak sen. Proszę, niech pan weźmie miotełkę i zabiera się do roboty! Tylko proszę uważać, bardzo pana proszę! Żeby niczego nie zniszczyć!

Idzie ku drzwiom, odwraca się, po czym mówi surowym tonem:

– Przyjdę tu później i sprawdzę, czy dobrze pracowałeś. Tak więc przyłóż się, chłopcze, bo jak nie, to będziesz miał okazję poznać mnie z zupełnie innej strony! No, raz dwa, do roboty, na co czekasz?

Wychodzi, podczas gdy student patrzy za nim długo w zdumieniu. Następnie uśmiecha się, wzrusza ramionami i zaczyna odkurzać. W pewnej chwili zatrzymuje się i, stojąc w środku wielkiej chmury kurzu, pogrąża się w zadumie, pokastlując od czasu do czasu.

– Zaraz – mamrocze do siebie – jak to było? Muszę to sobie zapisać...

Podchodzi do stołu, przy którym siedzą w bezruchu spadkobiercy, i zaczyna pisać placem po pokrytym kurzem blacie.

– D sigma kwadrat równa się c kwadrat dt kwadrat... kiedy poprowadzi się urojoną współrzędną czasową pierwiastek minus jeden ct równa się x cztery jeden, wtedy zgodnie z prawem stałej rozprzestrzeniania się światła ds kwadrat równa się dx jeden kwadrat plus dx dwa kwadrat plus dx trzy kwadrat plus dx cztery kwadrat równa się zero...

Wysuwa jedno z krzeseł, które stoją przy tym długim stole, po czym siada między dwoma spadkobiercami, jedną ręką podpira głowę i liczy dalej.

– Ponieważ ten wzór wyraża realną treść, także wzór ds musi mieć realne znaczenie, także wówczas, kiedy sąsiadujące ze sobą punkty czterowymiarowego przestrzenno-czasowego kontinuum są tak położone, że ds znika... nie, zaraz, nie znika... nie znika... nie...

Głowa powoli opada mu na blat stołu. Z policzkiem leżącym na wypisanym w kurzu wzorze, student zasypia i śpi dalej spokojnie, oddychając głęboko niczym małe dziecko.